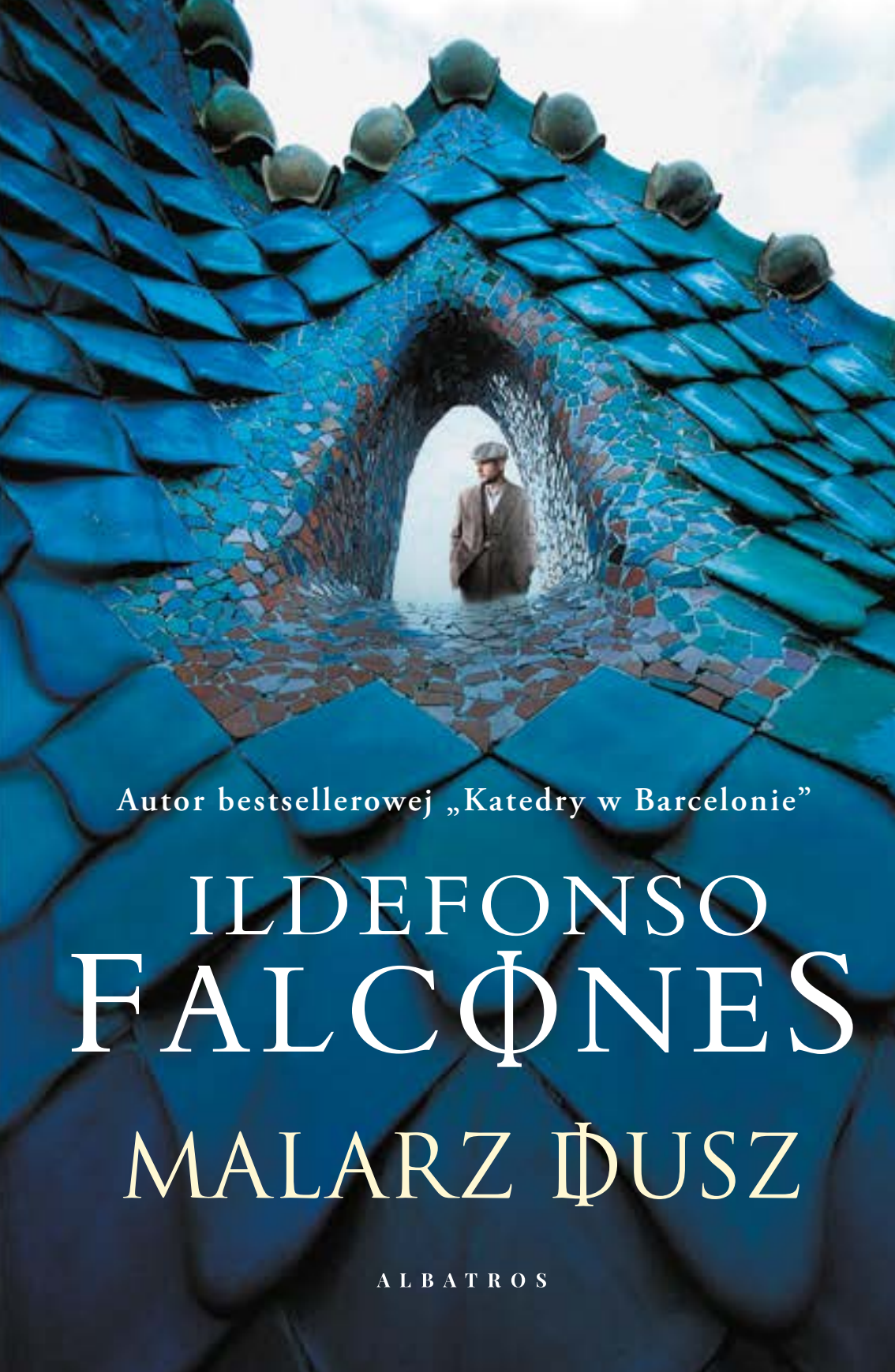




Autor bestsellerowej „Katedry w Barcelonie”

ILDEFONSO
FALCÓNES

MALARZ DUSZ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
EL PINTOR DE ALMAS

Copyright © Ildefonso Falcones de Sierra
Translated from the original edition of Penguin Random House Grupo
Editorial, Barcelona, 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020
Polish translation copyright © Joanna Ostrowska (rozdziały 1–11) & Elżbieta Rzewuska
(rozdziały 12–epilog) 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: © Pere Vivas Ortiz – Triangle Postals/Casa Batlló – Gaudí –
Barcelona (www.casabatllo.es) (*dach Casa Batlló*), © Andy & Michelle Kerry/Trevillion
Images (*postać*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Penguin Random House Grupo Editorial/Yolanda
Artola

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Barcelona, maj 1901

ULICZKI NAJSTARSZEJ CZĘŚCI MIASTA wypełniły się okrzykami. „Strajk!”, „Zamykać drzwi!”, „Zatrzymać maszyny!”, „Opuścić żaluzje!”. Wiele kobiet przyszło na pikietę razem z dziećmi; ścisnęły je za rączki albo niosły, pilnując, by nie dołączyły do biegających samopas starszych kolegów. Przemierzały ulice, namawiając do przerywania pracy robotników i handlarzy z nadal otwartych warsztatów, fabryk i sklepów. Większość przekonały dzierżone przez nie kije i żelazne drągi, dochodziło też jednak do przepychanek i wybijania szyb wystawowych.

– To przecież kobiety! – krzyknął jakiś staruszek z balkonu na pierwszym piętrze, tuż nad głową rozwścieczonego sklepikarza, który postawił się dwóm pikietującym.

– Anselmo, ja... – Kupiec podniósł wzrok.

Jego słowa zostały zagłuszone przez wyzwiska i gwizdy gapiów, którzy obserwowali zajście z balkonów starych kamienic zamieszkałych przez robotników i biedotę. Domy z popękkanymi, odrapanymi fasadami z widocznymi plamami wilgoci stały ściśnięte jeden przy drugim. Mężczyzna zagryzł usta, pokręcił głową i zamknął sklep. Kilku małych obdartusów zaczęło świętować zwycięstwo, nabijając się z właściciela. Niektórzy gapie z uśmiechem przyglądali się swawolom smarkaczy – kupiec, który wyrabiał i sprzedawał espadryle, nie cieszył się sympatią okolicznych mieszkańców. Był

nieufny. Nie uśmiechał się i nie odpowiadał na „Dzień dobry”.

Dzieciarnia przestała dokazywać, dopiero kiedy przed sklepem pojawili się gwardziści podążający za pikietującymi kobietami.

Puściła się biegiem za tłumem, który sunął krętymi, ciemnymi uliczkami średniowiecznej Barcelony. Z powodu gęstej zabudowy majowe słońce docierało tylko do mieszkań na najwyższych piętrach. Wyglądający z balkonów gapie umilkli na widok gwardzistów, z których część jechała konno z przytroczonymi do pasów szabłami. Na ich ściągniętych twarzach malowało się napięcie, widoczne także w rytmicznych ruchach. Wszyscy zdawali sobie sprawę z wewnętrznej walki, jaką toczą ze sobą ci mężczyźni: musieli powstrzymać nielegalne pikiety, a nie uśmiechało im się atakowanie kobiet i dzieci.

Historia rozruchów robotniczych w Barcelonie była bowiem historią właśnie kobiet i dzieci. Nie pierwszy raz namówiły mężczyzn, żeby powstrzymali się od udziału w zamieszkach. „Nas nie odważą się zaatakować, a przecież poradzimy sobie z łamistrajkami”, przekonywały. Tak było też w maju 1901 roku, kiedy robotnicy wyszli na ulice po tym, jak pod koniec kwietnia Spółka Tramwajowa zwolniła strajkujących pracowników i zatrudniła na ich miejsce łamistrajków.

Wciąż jednak było daleko do strajku generalnego, do którego w ramach solidarności z tramwajarzami chciały doprowadzić związki robotnicze; chociaż doszło do kilku brutalnych zajść, wydawało się, że Gwardia Obywatelska panuje nad sytuacją w mieście.

Z setek gardeł dobyły się wrzaski, kiedy wśród kobiet zaczęła krążyć pogłoska, że Ramblą jeździ tramwaj. Padły wyzwiska i pogróżki: „Łamistrajki!”, „Skurwysyny!”, „Idziemy po nich!”.

Żwawym krokiem podążyły ulicą Portaferriisa; niektóre prawie biegly. Dotarły do Rambla de les Flors, na wysokości Mercat de la Boqueria. W odróżnieniu od pozostałych barcelońskich bazarów – jak Sant Antoni, Born czy Concepció – targowisko nie zostało przez nikogo zaprojektowane. Powstało spontanicznie; sprzedawcy zaczęli stawiać kramy w podcieniach wokół placu Sant Josep. Ostatecznie kupcy dopięli swego: plac wypełniły

markizy i prowizoryczne daszki, a fasady otaczających go domów stały się poniekąd ścianami nowej hali targowej. Szare żeliwne budki z kwiatami, stojące w szeregu po obu stronach alei, były wprawdzie pozamykane, ale kwiaciarki trwały na stanowiskach, trzymając się pod boki, gotowe bronić swoich sklepików. W całej Barcelonie sprzedawano kwiaty tylko na tym odcinku Rambli. Przed targowiskiem, kilka kroków od torów tramwajowych, stały jeden przy drugim kryte wozy. Konie zareagowały nerwowo na krzyki nadciągających kobiet. Te nie zwracały jednak uwagi na wierzgające zwierzęta i biegających w popłochu kramarzy, bo właśnie nadjeżdżał tramwaj kursujący między centrum Barcelony i dzielnicą Gràcia, który zaczynał trasę przy porcie, na Rambla de Santa Mònica.

Dalmau Sala był w grupie mężczyzn, którzy szli w milczeniu za gwardzistami eskortującymi kobiety. Szeroka Rambla zapewniała mu lepszy widok niż wąskie uliczki starówki. Wokół panował kompletny chaos: konie, wozy, sprzedawcy, przechodnie, gwardziści ustawieni w zwartym szeregu przed grupą kobiet z dziećmi, które utworzyły żywą zaporę, by bronić towarzyszek blokujących tory tramwajowe.

Dalmau poczuł dreszcz, widząc, że niektóre kobiety podnoszą niemowlaki i pokazują je gwardzistom. Starsze dzieci czepiały się wystraszone matczynych spódnic, patrzyły na wszystko szeroko otwartymi oczami, daremnie szukając wyjaśnień. Rozochoceni panującą atmosferą nastolatkwie otwarcie prowokowali gwardzistów.

Kilka lat wcześniej – cztery, może pięć – Dalmau też stał na wprost Gwardii Obywatelskiej, podczas gdy matka krzyczała za jego plecami, domagając się sprawiedliwości i poprawy warunków pracy. Wiele kobiet wykorzystywało dzieci do walki o sprawy, które stawiały wyżej niż ich bezpieczeństwo.

Krzyki sprawiły, że na moment ogarnęło go upojenie, podobne do tego, jakie czuł, kiedy sam ścierał się z gwardzistami. Wydawało im się wtedy, że są bogami. Walczyli o prawa robotników! Zdarzało się, że Gwardia Obywatelska czy wojsko rozpędzały protestujących.

Ale nie dzisiaj, pomyślał, spoglądając na stojące na torach kobiety. Nie. Tego dnia służby porządkowe nie zaatakują; czuł to, wiedział.

Szybko je zlokalizował. Stały w pierwszym rzędzie, na czele grupy, patrząc wyzywająco na nadjeżdżający tramwaj, jakby mogły zatrzymać go wzrokiem. Uśmiechnął się. Czegóż nie wymusiłyby tym spojrzaniem? Montserrat i Emma, jego młodsza siostra i narzeczona. Nierozłączne, zjednoczone w niedoli, w walce o prawa robotnicze. Tramwaj dzwonił, był coraz bliżej. Koła i inne metalowe części błyszczały w promieniach słońca, które przeciskały się przez korony rosnących wzdłuż Rambli drzew. Niektóre kobiety – nieliczne, bardzo nieliczne – zeszły z torów. Dalmau wyciągnął szyję. Nie bał się o nie, wiedział, że pojazd się zatrzyma. Ucichły krzyki matek i gwardzystów, gapie wstrzymali oddechy. Kobiety stojące na torach jakby urosły: stanowcze, zawzięte, gotowe na śmierć pod kołami.

Tramwaj się zatrzymał.

Tłum zaczął wiwatować. W górnej, odkrytej, części wagonu siedzieli nieliczni pasażerowie, którzy tego dnia odważyli się skorzystać z komunikacji miejskiej. Niezdarnie złazili na dół, by pójść w ślady motorniczego i konduktorów, którzy wyskoczyli z tramwaju, jeszcze zanim zdążył stanąć.

Dalmau patrzył, jak Emma i Montserrat świętują zwycięstwo ze swoimi towarzyszkami, pełne euforii, uśmiechnięte, ze wzniesionymi ku niebu pięściami. Niespełna minutę później kobiety otoczyły tramwaj. „Dalej!”, „Powalić go!”. Gwardziści próbowali interweniować, ale zatrzymała ich zaporą utworzona z dzieci. Na boku wagonu pojawiło się morze rąk. Kobiety, które nie dopchały się do tramwaju, podtrzymywały plecy stojących z przodu koleżanek.

– Pchajcie! – zabrzmiało jednocześnie kilka głosów.

– Mocniej!

Tramwaj zachwiał się na żelaznych kołach.

– Jeszcze! Jeszcze, jeszcze...

I raz, i dwa... Wagon kołysał się coraz mocniej, w rytm okrzyków, którymi dopingowały się nawzajem kobiety. Z setek

gardel wydobył się ryk – tramwaj runął na bok. Wrzawa zlała się z trzaskiem drewna i zgrzytem metalu. Wszystko spowiła chmura kurzu.

Na moment zapanowała względna cisza, lecz niespodziewanie przerwały ją okrzyki:

- Wiwat rewolucja!
- Niech żyje anarchia!
- Strajk powszechny!
- Śmierć klechom!

Więcej miejsc pracy i wyższe dniówki. Krótszy czas pracy. Zakaz zatrudniania dzieci. Koniec z władzą Kościoła. Bezpieczeństwo. Przyzwoite warunki mieszkaniowe. Wyrzucenie duchownych. Służba zdrowia. Świeckie szkoły. Żywność dostępna dla każdego... Na Rambla de les Flors rozbrzmiały tysiące postulatów, powtarzanych przez biedotę, która coraz liczniej gromadziła się w alei i z zapalem oklaskiwała robotnice.

Emma i Montserrat wspięły się na bok wagonu, spocone, z brudnymi twarzami pociemniałymi od kurzu, który wzbił się po przewróceniu tramwaju. Skakały podekscytowane i z uniesionymi pięściami dopingowały towarzyszek.

Dalmauowi zjeżyły się włosy, kiedy na nie patrzył. Waleczne! Zaangażowane! Ileż to już razy jego siostra i narzeczona wychodziły na ulice z matkami i żonami robotników, by bronić jakiejś sprawy? Był od nich starszy prawie o dwa lata, a mimo to te dwie dziewczyny przewyższały go odwagą; krzyczały, wyzywały, a nawet prowokowały gwardzistów, jakby zmuszał je do tego sam fakt, że są kobietami. A teraz stały na tramwaju, który same powaliły. Dalmau zadrżał, po czym uniósł pięść i podekscytowany, przyłączył się do protestujących.

PODNIECENIE I HAŁAS NADAL mu TOWARZYSZYŁY, kiedy rozedrgany i oszołomiony, szedł Passeig de Gràcia w stronę fabryki kafelków, w której pracował. Znajdowała się w dzielnicy Les Corts, na terenach rozpościerających się aż po parów Bargalló. Nie miał

okazji porozmawiać z dziewczynami – po osiągnięciu celu pikietujące kobiety i dzieci zaczęły się rozchodzić, widząc rosnące podenerwowanie gwardzistów. Pomyślał, że łatwo je odnajdzie. Na pewno! Uśmiechnął się, kopiąc leżący na ziemi liść. Każdy je widział stojące na tramwaju. Ale szybko wmieszały się w tłum kobiet zalewający targowisko i Ramblę. Wszystkie były podobnie ubrane, w spódnice do kostek, fartuchy i rozpinane bluzki, wiele podwinęło rękawy. Starsze miały na głowach chustki, przeważnie czarne, młodsze wyszły na miasto bez kapeluszy, z włosami upiętymi w kok. Różniły się od bogatych, eleganckich dam, które codziennie widywał na Passeig de Gràcia.

Dalmau obserwował je w drodze do fabryki i do domu. Przechadzały się dumnie szeroką arterią przecinającą Barcelonę, otoczone dziećmi, piastunkami w białych uniformach, końmi i powozami. Piersi, talia i pośladki – podobno na podstawie tych trzech części ciała powinno się oceniać kobietę. Modernizm odcisnął piętno na damskiej modzie, podobnie jak na architekturze i innych dziedzinach sztuki. Szttywne, niemal średniowieczne suknie noszone w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku zostały zastąpione przez ubiory, które dodawały kobietom życia, jak gorsety podkreślające ich naturalne, cudownie faliste kształty: z przodu piersi, niżej płaski, ściśnięty brzuch, a z tyłu wystające pośladki, jakby przy każdym kroku ruszały do natarcia. Kiedy miał czas, siadał na ławce i węglem przenosił te kształty na papier, ale zazwyczaj rozbierał te kobiety w wyobraźni. Nie chciał ograniczać się do tego, co sugerowały gorsety i suknie. Stopy, kostki – zwłaszcza kostki, delikatne i smukłe, z napiętymi jak postronki ścięgnami – łydki, uda, dłonie, ręce. I szyje! Dlaczego miałby zwracać uwagę tylko na te trzy kryteria: piersi, brzuch i pośladki? Lubił rysować kobiece akty; niestety, nie mógł pracować z nagimi modelkami, bo nie pozwalał mu na to jego mistrz, don Manuel Bello. Akty męskie – owszem; akty kobiece – nie. Skoro on sam ich nie maluje, Dalmau też nie będzie tego robił, mówił z oburzeniem mistrz. Chłopak uśmiechał się pod nosem: nic dziwnego, jeżeli popatrzeć na żonę don Manuela, reakcyjną, konserwatywną mieszczkę i zatwardziałą

katoliczkę – do szpiku kości! – podobnie zresztą jak jej mąż. Obstawiała przy noszeniu staroświeckich strojów, które już lata temu wyszły z mody, i nadal używała turniury – przytwierdzanego do pasa stelażu wypychającego tył spódnicy.

– Wygląda jak ślimak – żartował Dalmau, opowiadając o niej Montserrat i Emmie. – Z przodu nic, a na tyłku pancerz, który wszędzie ze sobą nosi. Nie uwierzycie, ale nie potrafię wyobrazić jej sobie nago.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

– Nigdy nie widziałeś ślimaka bez muszli? – zapytała go siostra. – Wystarczy, że zamienisz rogi na włosy, i będziesz miał swoją obślizgłą burżujkę.

– Przestańcie! To obrzydliwe! – poskarżyła się Emma, odpychając Montserrat. – Dlaczego musisz wyobrażać sobie nagie kobiety? – zwróciła się do Dalmaua. – Nie wystarczy ci ta, którą masz?

Ostatnie zdanie wypowiedziała, przeciągając słowa, słodkim, uwodzicielskim głosem. Chłopak objął ją w talii i pocałował w usta.

– Oczywiście, że mi wystarczy – szepnął.

Poza modelkami z erotycznych zdjęć, które służyły mu do studiowania kobiecego ciała w tajemnicy przed mistrzem, Emma była jedyną kobietą, która pozowała mu nago. Montserrat zaproponowała, że też będzie jego modelką.

– Mam malować nago własną siostrę?! – zaprotestował.

– To przecież sztuka – odparła, udając, że rozpina bluzkę, ale złapał ją za rękę. – Szkice z Emmą są cudowne! Jest taka... zmysłowa! Taka kobieca! Przypomina boginię! Nikt by nie powiedział, że to zwykła kucharka. Też chciałabym tak wyglądać, a nie jak robotnica z fabryki tkanin.

Dalmau zamknął oczy, widząc, że siostra szarpie spódnice w kwiaty, jakby zamierzała ją zdjąć.

– Chciałabym, żebyś i mnie tak narysował – nalegała.

– Naszej matce też by się to podobało? – przerwał jej.

Montserrat wykrzywiła usta i zrezygnowana, pokręciła głową.

– Nie muszę malować cię nago, bez tego wiesz, że jesteś równie

piękna jak Emma – próbował ją pocieszyć. – Przecież wszyscy się w tobie kochają! Szaleją za tobą, jedzą ci z ręki.

Tamtego dnia był już jednak spóźniony: nie miał czasu na obserwowanie mieszczek spacerujących Passeig de Gràcia i na wyobrażanie sobie ich nagich ciał. Nie miał też czasu na podziwianie modernistycznych budynków wyrastających jak grzyby po deszczu w nowej dzielnicy Eixample, powstałej na obszarze leżącym poza dawnymi murami miasta, na którym z powodu strategii obronnej przez stulecia nie wolno było niczego budować. Został włączony do Barcelony dopiero w XIX wieku, kiedy zburzono mury. Mistrz Bello odżegnywał się od tej nowoczesnej architektury, chociaż jego fabryka robiła świetne interesy, sprzedając budowniczym ceramikę.

„Interes to interes, synu”, wyjaśnił, kiedy Dalmau odważył się zwrócić mu uwagę na tę niekonsekwencję. Od czasu Wystawy Światowej w 1888 roku modernizm narzucił w Barcelonie istotne zmiany – nie tylko w damskiej modzie – trudne do zaakceptowania dla niektórych konserwatystów. W ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku kobiety co prawda uwolniły się od turniury, która upodabiała je do ślimaków, ale nadal nosiły usztywniane suknie wzorowane na średniowieczu. Także architekci inspirowali się tą epoką, próbując dorównać splendorowi średniowiecznej Katalonii. Na przykład Lluís Domènech i Montaner wykorzystywał surową cegłę typową dla tego okresu. Zbudował na wystawę w 1888 roku imponujący zamek z orientalnymi motywami, w którym miała się mieścić restauracja. Na zewnętrznym fryzie umieścił jakieś pięćdziesiąt białych ceramicznych płyt reklamujących to, co można było spożyć w środku: przedstawiały marynarza pijącego gin, panienkę z lodami, kucharkę przyrządzającą czekoladę...

Kilka lat później Josep Puig i Cadafalch rozpoczął budowę Casa Amatller przy Passeig de Gràcia; choć wprowadził elementy charakterystyczne dla gotyku, zerwał z symetrią i klasycyzmem, dając Barcelonie pierwszą secesyjną elewację. Podobnie jak Domènech i Montaner, eksperymentował z dekoracjami: umieścił na fasadzie rzeźby zwierząt oddających się czynnościom odpowiadającym zainteresowaniom właściciela budynku. Pies, kot, lis, koza, ptak i

jaszczurka pełnił funkcję strażników, żaby dmuchają szkło i wznoszą toast kieliszkami, świnie lepią amforę, osły czytają w okularach, lew robi zdjęcia, niedźwiedź siedzi z parasolem, królik wlewa do formy stopiony metal, podczas gdy drugi podaje mu wodę, a małpa uderza w kowadło.

Te dwa budynki, a także wiele innych zwiastujących zmianę w podejściu do architektury, były zdaniem mistrza prekursorami Casa Calvet przy ulicy Casp. Jej twórca, Antoni Gaudí, zaczął odchodzić od historyzmu, który cechował jego pierwsze projekty, wprowadzając elementy dające wrażenie ruchu. „Ruch i kamienie!”, wykrzykiwał z niedowierzaniem don Manuel Bello.

„Kobiety i budynki – wyznał kiedyś Dalmauowi – z czasem tracą klasę, elegancję, dostojność, historię i zaczynają się prostytuować. Kobiety zamieniają się w faliste żmije, budynki – w niespójną materię”. Odwrócił się od chłopaka, wymachując rękami, jakby zbliżał się koniec świata. Dalmau nie przyznał się, że pociągają go te faliste kształty i że podziwia tych, którzy próbują wprawić w ruch żelazo, kamień i ceramikę. Tylko czarownik, magik, wybitny artysta może zaprezentować publiczności materię przekształconą w ciecz!

Obok Dalmaua przetoczył się powoli długi wóz z gliną, ciągniony przez cztery potężne perszerony o włochatych grubych nogach i masywnych łbach, szyjach i zadach. To wyrwało go z rozmyślań. Podniósł głowę i powiódł wzrokiem za wyładowanym pojazdem odcinającym się na tle dwóch wysokich kominów. *Manuel Bello García. Fabryka kafelków*, głosił napis wymalowany na niebiesko na białych ceramicznych płytkach zdobiących wejście. W środku znajdowały się przestronna hala z kadziami i suszarkami, magazyny, pomieszczenia biurowe i piece. Średniej wielkości fabryka zajmowała się produkcją seryjną, ale wykonywała też specjalne zamówienia dla architektów i majstrów budowlanych oraz dla wszelkiego rodzaju przybytków – sklepów, aptek, hoteli, restauracji – które chętnie wykorzystywały ceramikę jako element dekoracyjny.

Praca Dalmaua polegała na rysowaniu. Projektował płytki do

seryjnej produkcji, które trafiały do katalogu fabryki, wprowadzał w życie pomysły majstrów budowlanych i realizował drobiazgowo opracowane projekty sławnych modernistycznych architektów.

Wszedł do pracowni mistrza mieszczącej się obok biur, na pierwszym piętrze jednego z budynków wchodzących w skład fabryki.

– Proszę mi wybaczyć, don Manuelu... W starej części miasta panuje kompletny chaos. Manifestacje, interwencje Gwardii Obywatelskiej – powiedział, nieco przesadzając. – Nie mogłem tam nie pójść, przez wzgląd na matkę i siostrę.

– Musimy chronić swoje kobiety, synu – przytaknął don Manuel. Siedział przy mahoniowym stole, w skromnym, czarnym garniturze. Pod szyją miał ciemnozielony krawat zawiązany w duży węzeł. Szerokie, gęste baki łączyły się z bujnymi wąsami, tworząc jedną linię, szyja i broda były pozbawione zarostu. – Potrzebują nas. Dobrze robisz. Ci wszyscy anarchiści i liberałowie zrujnują nasz kraj! Mam nadzieję, że Gwardia Obywatelska ostro się za nich wzięła. Twarda ręka! Tego potrzeba tym łajdakom! Nie przejmuj się, synu. Zajmij się pracą.

Pracownia Dalmaua sąsiadowała z gabinetem mistrza. Nie siedział jak inni we wspólnych salach. Własna przestrzeń pozwalała mu skupić się na pracy, którą w tych dniach było zaprojektowanie serii płytek z motywami orientalnymi: kwiatami lotosu, nenufarami, chryzantemami, łądygami bambusa, motylami, ważkami...

Opanowanie sztuki rysowania kwiatów zajęło mu kilka lat studiów w Llotja, barcelońskiej Szkole Malarstwa i Rysunku. Kwiaty naturalne, kwiaty widziane z boku, kwiaty w cieniu; szkice i obrazy olejne. Dalmau uczył się w akademii od dziesiątego roku życia; miał zajęcia z arytmetyki, geometrii, rysunku figuratywnego, rysunku technicznego, zdobnictwa, grafiki i malarstwa. Najważniejszym przedmiotem było jednak wzornictwo. Właśnie w tym celu powstała Llotja – by nauczyć robotników sztuki, którą później mieli wykorzystać w przemyśle.

Choć w połowie XIX wieku sztuka użytkowa zaczęła ustępować miejsca sztukom pięknym, nie została całkowicie

zarzucona – miała dostarczać przemysłowi projektów, wśród których poczesne miejsce zajmowały rysunki kwiatów. Motywy roślinne były charakterystycznym ornamentem gotyku. Projektanci szukający inspiracji w sztuce średniowiecza wykorzystywali je teraz do ozdabiania tkanin – przemysł tekstylny napędzał katalońską gospodarkę – a modernistyczni architekci umieszczali je na ceramicznych płytkach, panelach, mozaikach, żelaznych, drewnianych i szklanych elementach budowli, a także na gipsowych rzeźbach zdobiących ich dzieła.

Dalmau włożył fartuch na beżową tunikę do kolan, która razem ze spodniami z wełny i lnu w nieokreślonym ciemnym kolorze, czapką i czarnymi skórzanymi trzewikami stanowiła jego codzienny strój. Gdy tylko usiadł przy stole zawalonym szkicami i ułożył ołówki, ucichły dobiegające z zewnątrz głosy, śmiechy, krzyki i fabryczne hałasy. Skoncentrował zmysły na orientalnych wzorach, próbując przyswoić sobie wschodnią technikę malowania, która porzuciła realizm na rzecz wystylizowanego piękna bez skazy, różniącą się od zachodnich kanonów, a przez to cenioną na rynku szukającym czegoś innego, egzotycznego i nowoczesnego.

Pochłonięty pracą i głuchy na bombardujące go dźwięki, nie zauważył, że fabryka opustoszała, a nad Barceloną zapadł zmierzch. Stróż przyniósł mu do pracowni obiad; Dalmau zjadł go bez apetytu, jakby chodziło o przykrą niedogodność. Mruknięciem odpowiadał tym, którzy zaglądali, żeby się z nim pożegnać. Podobnie potraktował don Manuela, który opuścił fabrykę jako jeden z ostatnich; nawet nie podniósł wzroku znad rysunków. Mistrz odwrócił się i cmoknął – nie wiadomo, czy z zadowoleniem, czy z dezaprobatą.

Dwie godziny później niespodziewanie przygasły lampy gazowe, pograżając pracownię w półmroku.

– Kto zgasił światło? – zaprotestował Dalmau. – Kto tu jest?

– To ja, Paco – odpowiedział nocny stróż, odkręcając zawór gazu.

Blask lampy oświetlił starego zgarbionego mężczyznę. Paco był pocziwiną, ale nie miał wstępu do pracowni. Z polecenia

mistrza tylko najbardziej zaufani pracownicy mogli oglądać szkice i niewykończone projekty.

– Co tu robisz? – zdziwił się Dalmau.

– Don Manuel kazał mi cię wyrzucić, jeżeli będziesz za długo siedział. – Staruszek uśmiechnął się bezzębnymi ustami. – Na ulicach zrobiło się niebezpiecznie, ludzie są bardzo wzburzeni – wyjaśnił. – Twoja matka na pewno się denerwuje.

Może Paco miał rację. Żołądek Dalmaua zaburczał, korzystając z tego, że chłopak oderwał się od rysowania. Głód i piekące ze zmęczenia oczy, które nagle dały o sobie znać, sprawiły, że zdecydował się zakończyć pracę.

– Zgaś światło – poprosił dozorcę, rzucając fartuch na stojący w kącie wieszak, gdzie zawisł na rękawie. – Co się wydarzyło w mieście? – zapytał Dalmau, zamykając pracownię.

– Sytuacja nieco się skomplikowała. Pikiety, głównie kobiety i wyrostki, przeszły przez stare miasto. Obrzucali kamieniami fabryki i warsztaty, dopóki nie przyłączyły się do strajku. Podobno rano przewrócili tramwaj i to ich rozzuchwaliło. – Dalmau głośno parsknął. – Tak samo było z dużymi fabrykami w dzielnicy Sant Martí. Zaatakowali też koszary Gwardii Obywatelskiej. Dzieciaki skorzystały z okazji i podpaliły kilka biur rachunkowych, które pewnie wcześniej okradły. Panuje spore zamieszanie.

Zeszli schodami do magazynów na parterze. Przed wyjściem na rozległy teren otaczający zabudowania, w których obrabiano glinę, Dalmau pożegnał się z dwoma niespełna dziesięcioletnimi chłopcami mieszkającymi w fabryce. Spali na rozłożonym na ziemi kocu, przy piecach, od których odsuwali się, w miarę jak robiło się cieplej. Nie byli nawet terminatorami, wykorzystywano ich do wszelkich prac: sprząтали, załatwiali sprawunki, przynosili wodę... Obaj mieli rodziców i rodzeństwo, przynajmniej tak twierdzili – robotników z dzielnicy Sant Martí, katalońskiego Manchesteru, którzy żyli w ciasnocie w mieszkaniach dzielonych z innymi rodzinami. Sant Martí było daleko, mistrz nie miał więc nic przeciwko temu, żeby chłopcy spali w fabryce i zarobili kilka centymów; w zamian żądał jedynie, by w niedzielę chodzili na msze do kościoła Santa Maria

del Remei w Les Corts. Rodzice najwyraźniej nie przejmowali się tym, że ich pociechy mieszkają poza domem; nikt się nimi nigdy nie zainteresował. Niektóre dzieci mają jeszcze gorzej, pomyślał Dalmau, mierząc szczeciniastą czuprynę jednego z malców. W Barcelonie żyło ponad dziesięć tysięcy tak zwanych *trinxeraires*, nieletnich, którzy zebrali, kradli i spali na ulicy. Były to głównie sieroty i porzucone dzieci, takie jak ci dwaj chłopcy, którym rodzice nie mogli zapewnić opieki ani wyżywienia.

– Dobranoc panu, mistrzu – pożegnał się jeden z nich bez śladu szyderstwa. Jego podziw był szczery.

Dalmau odwrócił głowę, ściągnął usta, przeszukał kieszeń spodni i rzucił każdemu po dwucentymowej monecie.

– Ależ pan hojny! – Tym razem w głosie chłopca brzmiała kpina.

– Nie znalazł pan jednocentymówki? – rzucił jego brat. – To te... najmniejsze.

– Niewdzięcznicy! – ryknął dozorca.

– Zostaw ich – powiedział z uśmiechem Dalmau, który podchwycił kpiny chłopców. – Zastanówcie się dobrze, na co wydacie te pieniądze. Żebyście się czasem nie przejedli.

– Proszę się nie martwić! Może mistrz przyłączy się do naszej kolacji?

– Nie, dziękuję, innym razem. Zaprosicie lepiej wasze narzeczone – doradził ze śmiechem, kierując się w stronę wyjścia.

– Za te cztery centymy zafundujemy sobie barani comber! – usłyszał za plecami.

– I wino z Alelli wzmacniane likierem!

– Co za bezczelne chłopaki – złorzeczył dozorca.

– Nie, Paco, wcale nie – zaprotestował Dalmau. – To opuszczone dzieciaki, nie można mieć im za złe, że podchodzą do życia z humorem.

Dozorca zamilkł. Dalmau przeszedł pod ceramicznym szyldem z nazwą fabryki; próbował przyzwyczaić wzrok do blasku księżycy oświetlającego niezabudowane działki i ulice, na których nie postawiono jeszcze latarni. Wciągnął nosem rześkie nocne

powietrze. Panowała napięta cisza, jakby wokół wciąż unosiły się krzyki strajkujących, którzy protestowali w ciągu dnia. Spojrzał w stronę morza, na którego tle odcinały się setki wysokich kominów. Barcelona była przemysłowym miastem pełnym fabryk, magazynów i warsztatów. Już w XIX wieku wykorzystywano tu maszyny parowe do prac, które gdzie indziej nadal wymagały siły ludzkich mięśni. Dzięki temu, a także za sprawą wpływów sąsiedniej Francji oraz atawistycznej przedsiębiorczości i zmysłu handlowego tutejszej ludności, stała się jednym z najbardziej postępowych miast Europy. Głównym działem gospodarki było włókiennictwo – w zakładach tekstylnych pracowała połowa barcelońskich robotników. Ważną rolę odgrywały także branże metalurgiczna, chemiczna i spożywcza, wzornictwo oraz przemysł drzewny, skórzaný, obuwniczy i papierniczy. W półmilionowym mieście działały dziesiątki fabryk. Ale na uprzemysłowieniu korzystali głównie bogaci przedsiębiorcy i mieszczaństwo; sytuacja robotników przedstawiała się zupełnie inaczej. Pracowali po dziesięć, dwanaście godzin dziennie siedem dni w tygodniu za nędzne dniówki. W ciągu trzydziestu lat wynagrodzenia wzrosły o trzydzieści procent, a ceny żywności – o siedemdziesiąt. Ponadto narastało bezrobocie, noclegownie nie były w stanie pomieścić bezdomnych, a jadalnie dla ubogich wydawały tysiące posiłków dziennie. Dalmau pokręcił głową: Barcelona była bardzo okrutna dla tych, którzy przyczynili się do jej rozwoju kosztem życia i zdrowia, własnego i swoich rodzin i dzieci.

W DOMU NIE ZASTAŁ ani Montserrat, ani Emmy. Pomyślał, że pewnie świętują swój sukces; może są na jakimś zebraniu i przygotowują plan akcji na następny dzień, radosne, uśmiechnięte. Zastanawiał się, czy nie pójść do jadalni przy targu Sant Antoni, uznał jednak, że nawet jeżeli nie będzie zamknięta z powodu strajku, i tak nie zastanie tam Emmy.

Mieszkał z matką na pierwszym piętrze starego domu w samym sercu barcelońskiej starówki, przy wąskiej uliczce Bertrellans łączącej

Canudę z Santa Anną, która wychodziła na kościół, obecnie w rozbudowie. Kamienica Salów nie różniła się od innych budynków stłoczonych w dzielnicach Sants, Gràcia, Sant Martí... Trzy, cztery piętra, ponure, wilgotne wnętrza, wąskie schody, brak kanalizacji, gazu i prądu, umieszczony na dachu zbiornik zaopatrujący w wodę wszystkich lokatorów. Na każdym piętrze znajdował się wspólny ustęp, a drzwi prowadziły do identycznych mieszkań: ciemny przedpokój, kuchnia połączona z jadalnią – często wychodząca na wewnętrzne patio – i dwa pokoje, w tym jeden bez okien.

Dalmau zastał matkę w sypialni z oknem wychodzącym na ulicę – szyla przy marnej świeczce, która zamiast dawać światło, wydawała się pogłębiać mrok. Mechanicznie naciskała pedał maszyny, którą kupił jej u pana Escudera z ulicy Avinyó. Zapewne pracowała przez cały dzień, prawie trzynaście godzin.

– Jak się matka czuje? – zapytał, całując ją w czoło.

– Jak widzisz, synu – odpowiedziała.

Przez chwilę patrzył, jak pracuje, po czym stanął za jej plecami i pogłodził ją po przedramionach. Maszyna wprawiała w drżenie jej ręce; poruszały się, przesuwając materiał. Matka zacisnęła usta i wygięła je w słabym uśmiechu, nie odrywając wzroku od ściegu. W milczeniu wciskała pedał i przytrzymywała materiał. Tego dnia szyla białe kołnierzyki i mankiety doczepiane do męskich koszul; takie zlecenie otrzymała od pośrednika z domów towarowych. Doczepiane kołnierzyki i mankiety były najgorzej płatne – za dzień katorzniczej pracy dostawała około pesety. Bochenek chleba kosztował czterdzieści centymów. Pośrednik obiecał jej partię spodni, a może i rękawiczek, ale tego dnia mógł jej zaproponować jedynie kołnierzyki i mankiety do koszul bogaczy. Josefa – tak miała na imię matka Dalmau – nie łudziła się, że chlebowdawca dotrzyma słowa. Może gdyby pozwoliła mu się dotykać i obmacywać, sytuacja wyglądałaby inaczej. Nie, skarciła się w myślach. Za żadne skarby! Niektóre szwaczki klękały, żeby mu dogodzić, albo pochyły się, podwijając spódnicę i fartuch, i na wszystko mu pozwalały. Kobiety młodsze i ładniejsze od niej! Znała je, czasami słyszała, jak szeptem się kłóć: czyja dziś kolej? Zadowalał się jedną – nie był ogierem,

szybko się podniecał i jeszcze szybciej kończył. Josefa nie oceniała ich. Nie żywiła do nich urazy. Miały dzieci i puste brzuchy.

Westchnęła. Dalmau delikatnie ścisnął jej rękę. Mogła liczyć na pomoc syna. Inne kobiety patrzyły na nią z zazdrością i często szeptały na jej widok. Nie sprawiało jej to przyjemności: nie uważała się za lepszą. Uboga wdowa po robotniku anarchiście, który został niesłusznie skazany i zmarł na wygnaniu z powodu obrażeń doznanych wskutek tortur, stopniowo traciła wzrok i cierpiała na bronchit dziesiątkujący szwaczki, które godzinami siedziały bez ruchu przy maszynach, niedożywione i przemęczone, wdychając cuchnące wyziewy, podczas gdy ich kości przenikała wilgoć – wszystko po to, żeby zaopatrzyć bogatych mieszczan w białe mankiety i kołnierzyki. Jednakże Dalmau był cenionym pracownikiem i zarabiał niezłe pieniądze u „świętoszka od kafelków”, jak nazywały don Manuela Josefa, Montserrat i Emma. „Niech matka rzuci tę pracę”, nalegał często syn. Ale Josefa nie chciała być na jego utrzymaniu. Któregoś dnia Dalmau się ożeni, będzie miał własne potrzeby. Pomagał jej, i to bardzo, dzięki czemu nie musiała ulegać rozwiązłemu pośrednikowi. Pomagał też siostrze i starszemu bratu, Tomasowi, który poszedł w ślady ojca anarchisty: był idealistą o utopijnych libertariańskich poglądach. Mięsem armatnim.

– A gdzie mała? – zapytał Dalmau, mając na myśli Montserrat. Jeszcze raz uścisnął matkę, po czym usiadł przy maszynie do szycia, na łóżku, które Josefa dzieliła z córką.

– Licho wie! Pewnie przygotowuje jutrzejszą manifestację. Zajrzała do domu, żeby powiedzieć, że przewróciła tramwaj. – Dalmau skinął głową. – Za moich czasów tramwaje były zaprzężone w kilka koni. Trudno byłoby je przewrócić – zażartowała.

– A wie matka, co z Emmą?

– Tak. – Krótka, stanowcza odpowiedź go zaskoczyła. Josefa przybrała łagodniejszy ton. – Przyszła razem z twoją siostrą. Przyniosła garnek z jedzeniem. Jedno z twoich ulubionych dań – dodała, puszczając do syna oko. – Potem poszły dalej walczyć.

Bacallà a la llauna. Dalmau rzeczywiście przepadał za tym

daniem, a Emma potrafiła je przyrządzać. Należało wymoczyć suszonego dorsza w osolonej wodzie (ale nieprzesadnie, by zachował smak morza), obtoczyć go w mące i usmażyć, a następnie przelać oliwę do *llauna* – naczynia o wysokich bokach – i zrumienić na niej posiekany czosnek z dodatkiem czerwonej papryki w proszku, podlanej winem, żeby się nie spaliła i nie zgorzkniała, a po kilku minutach dodać rybę... Josefa podgrzała danie na wbudowanej w ścianę kuchni i przyniosła je do jadalni wraz z pieczywem i karafką czerwonego wina.

Kiedy zjedli kolację, ulice wypełniły się głosami sąsiadów, którzy uciekali ze swoich nędznych nor, by poplotkować na świeżym powietrzu, przejść się, napić wina czy zapalić papierosa. Ale nawet teraz Dalmau nie zdołał namówić matki, żeby dała sobie spokój z szyciem.

– Mam jeszcze mnóstwo roboty – tłumaczyła.

„A kiedy matka nie ma?”, chciał zapytać, wiedział jednak, że może ją tak bez końca przekonywać: „Niech matka to zostawi”, „Nie potrzebuje matka tej pracy”, „Ja dam matce pieniądze”, „Niczego matce nie zabraknie”...

– Moglibyśmy nawet zmienić mieszkanie – zaproponował za którymś razem.

– Tutaj mieszkalam z twoim ojcem i tutaj umrę – odpowiedziała z niespotykaną surowością. – Może dla ciebie i dla twojego rodzeństwa to... nora – dodała łamiącym się głosem – ale te ściany przesiały jego śmiechem i płaczem, waszymi zresztą też. Żadna wilgoć, smród i ciemność nie wymażą z mojej pamięci szczęśliwych chwil, które tu przeżyłam, z nim, z tobą i z twoim rodzeństwem. Starania, żeby wyprowadzić na ludzi troje z pięciorga dzieci, które urodziłam, obrona praw robotników i wyrzuconych na bruk sąsiadów, walka o sprawiedliwość. Nieszczęścia i przykrości, dużo przykrości. Wszystko to zostało w tej norze, synu. Ten stukot maszyny do szycia, który czasami tak cię denerwuje... – Zamachała rękami. – Nie twierdzę, że to muzyka, ale tkwi we mnie tak głęboko, że przenosi mnie do czasów waszego dzieciństwa, do szczęśliwych chwil spędzonych z waszym ojcem. I jakoś samo się

szyje! – Wybuchnęła gardłowym śmiechem, który w rzeczywistości był kaszlem. – Moje dłonie wiedzą, co mają robić, lepiej niż oczy zmęczone po całym dniu harówki. – Westchnęła. – A kiedy one pracują, turkot maszyny przypomina mi przeszłość, twojego ojca...

Głos uwiązał jej w gardle, po policzkach popłynęły łzy. Dalmauem targały sprzeczne uczucia. Tej nocy wydała mu się kruchsza niż zwykle, bardziej bezbronna. Stał, przyciskając jej twarz do swojego brzucha, i kołysał ją, jakby była dzieckiem. Później, kiedy dręczony niepokojem, siedział w swoim pokoju bez okien, oświetlonym blaskiem świecy, postanowił narysować jej twarz. Miał kolejne kartki. Nie jest jeszcze taka stara, żeby sprowadzać swoje życie do wspomnień! Chciał obdarzyć ją uśmiechem i żywym spojrzeniem, ale szkice ukazywały ciągle to samo smutne oblicze.

NASTĘPNEGO RANKA DALMAU ZNALAZŁ na stole porcję *bacallà a la llauna*, którą matka zostawiła dla niego na śniadanie. Było jeszcze ciemno, ale na ulicach zaczynał się ruch. Obmył się w miednicy; zanim usiadł do stołu, uchylił drzwi sypialni, w której w zmiętej pościeli spały matka i siostra.

Na zewnątrz panował chłód. Niebo nad domami zaczęło się rozjaśniać, jakby tam, w górze, istniał czysty, zdrowy świat, bez wrzawy, półmroku, wilgoci, brudu i smrodu zniewalających mieszkańców barcelońskiej starówki. Nie żeby ludzie złorzeczyli na otoczenie – wręcz przeciwnie: większość, tak jak jego matka, kochała miejsce, w którym przyszła na świat albo pracowała. Nie, nie chodziło o narzekania mieszkańców – to miejscowe władze przedstawiały raport za raportem, przekonując, że ziemia pod miastem jest skażona. Twierdziły, że gliniaste podłoże zatrzymuje wodę, dlatego stale panuje tu wilgoć; że przenikają do niego ścieki, rozkładająca się materia organiczna i ekskrementy; że cały system kanalizacyjny jest w opłakanym stanie, że w rurach są przecieki; że miasto jest skażone i pełne śmieci; że nie ma bieżącej wody, a wiele studni, z których korzystają barcelończycy, jest zanieczyszczonych. Dlatego panoszą się tyfus i inne choroby zakaźne, powodując

wysoką śmiertelność mieszkańców.

A matka nie chce się stąd wyprowadzić! – ubolewał Dalmau. Minął kościół Santa Anna i wyszedł na duży pusty plac, który od czasu Wystawy Światowej w 1888 roku planowano zabudować; chociaż jeszcze niczego tam nie postawiono, ludzie już nazywali go placem Catalunya. Okrążył go, omijając błotniste kałuże i góry śmieci. Stanął przed Casa Pons, okazałym czteropiętrowym neogotyckim budynkiem z dwiema wieżyczkami na rogach zwieńczonymi stożkowymi dachami. Został wzniesiony w ostatniej dekadzie XIX wieku z wykorzystaniem rozmaitych materiałów: szkła, żelaza, drewna, a nawet ceramiki wyprodukowanej przez mistrza Bella.

Budynek zaprojektowany przez Enrica Sagniera znajdował się na początku Passeig de Gràcia i wyznaczał nie tylko modernistyczny trend w barcelońskiej architekturze, ale też granicę między dwoma odmiennymi światami. Różnica była tak wyraźna i szokująca, że Dalmau zawsze przystawał w tym miejscu i głęboko wzdychał, spoglądając to w prawo, w kierunku, z którego przyszedł, to w lewo, na szeroką, wysadzaną drzewami aleję, którą chodził do pracy.

Tu świeciło słońce. Docierało na sam dół, aż do bruku! I jakby mniej śmierdziało. Co prawda także bogacze nie zdołali rozwiązać problemu kanalizacji i znad czarnych rowów unosił się nieprzyjemny zapach, ale cuchnące wyziewy przeganiała bryza – na pewno w stronę starówki, pomyślał Dalmau. O tej wczesnej porze aleją nie przechadzały się jeszcze młode mieszcзки, byli za to piekarze roznoszący chleb po domach, dostawcy, służące z koszami zakupów – przeważnie ładniejsze i bardziej hojne niż ich panie – robotnicy, murarze, sprzedawcy, a także zastępy biedaków i żebraków, którzy czekali przed drzwiami dla służby, bo akurat przypadał dzień jałmużny.

– Stan wojenny! – Wrzask gazeciarza wyrwał Dalmaua z rozmyślań. – Stan wojenny w Barcelonie! – krzyczał sprzedawca ile sił w płucach.

Dalmau podszedł do niego.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).